

Tomasz Kozłowski  
Katedra Pedagogiki i Socjologii  
Wyższa Szkoła Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa, Poznań

## Witajcie w erze post-przyjaźni

Koniec przyjaźni – jak przebiega? Gdybym był zmuszony do odpowiedzi na to pytanie, zapewne wyglądałaby ona mniej więcej tak: dwójka ludzi z początku nie uświadamia sobie, że oddała się od siebie. Spędza ze sobą mniej czasu, rzadziej się kontaktuje. Wreszcie zmiana w dotychczasowych zwyczajach jest uświadomiona, choć nie jest to oficjalne – każdy to wie, ale niejako z osobna. Nikt tego nie przyzna. I taki stan zawieszenia, poprządkany sporadycznymi spotkaniami, trwa sobie, stara przyjaźń rdzewieje, wegetuje. Aż po jakimś czasie dwójka przyjaciół budzi się w stadium dawnych znajomych. Amen.

Przeżywam kilka takich obumierań również teraz, mam wrażenie, że nie tylko ja. Czy zabrzmie protekcyjnie i szowinistycznie pisząc, że wiele przyjaźni usycha z chwilą wypowiedzenia sakramentalnego „tak”? Nagle okazuje się, że silne, męskie koalicje, z jakich słynęły społeczności łowiecko-zbierackie, koalicje, które w niedojrzałej formie kształtują się na etapie podstawówek i liceów, by dojrzeć w okresie wczesnej dorosłości, w dobie zaganianej informacyjnej postmoderny obumierają gwałtownie w momencie przeistoczenia się w małżonka. Człowiek nagle stwierdza, że ma za mało wolnego czasu (według CBOS statystycznie jakieś 4 godziny i trzy kwadransy dziennie), że starcza go tylko na najbliższą rodzinę, jeśli w ogóle.

Prywatnie nazywam to „dochodzeniem do filtra”. Marcin Daniec swego czasu obśmiewał etos tak cywilizacyjnie i kulturowo kastrowanego męża, który ma chwilę dla siebie jedynie podczas wyjścia na papierosa na balkon i z żalem wspomina dawne „koalicje”. Parę chwil później filtr się już nadpala, czas dobiega końca i pora wrócić z balkonu na swoje miejsce. Moi dawni znajomi właśnie dochodzą do filtra, czytam to w ich smsach, wyczuwam w tłumaczeniach, unikach... I wiem, że nie mają innych alternatyw. Przyjaźń zamiera, zamienia się w dawną znajomość.

Ale proces ten można, przynajmniej dzięki współczesnej technologii, przyśpieszyć. Można zedrzeć tę fasadę w jednej chwili. Współczesne technologie już dawno to umożliwiają. Z pewnym niedowierzaniem przeczytałem informację o opcji „defriend” dostępnej na Facebooku. Klikając myszą można się „odprzyjaźnić”. (notabene pomysł, by „znielubiać” – a więc dawać kciuk w dół a nie w górę – np. towary, marki, producentów czy wydarzenia – już nie przeszedł. Bo to antyreklama. Ale ludzi odprzyjaźniać już można). Co to w praktyce oznacza? Nie czytamy już kolejnych postów dawnego przyjaciela, nie dowiadujemy się, co zająkował, a i on nie ma możliwości śledzenia naszych galerii zdjęć z ostatnich wczasów. Wedle Facebooka jesteśmy już obcymi osobami i są na to twarde dowody: każdy kto otwiera naszą galerię przyjaciół dostrzeże ów brak jak na dłoni. Można rzec, że to coś w rodzaju rozvodu pomiędzy przyjaciółmi, choć niekiedy druga strona nie ma pojęcia, że właśnie ją odprzyjaźniono.

Naturalnie, nie jest jeszcze z nami tak źle. Nie sądzę, by prawdziwe, głębokie przyjaźnie oficjalnie zrywano przy pomocy lewego klawisza myszy. Nawet w naszych pokręconych postmodernistycznych czasach jest w ludziach dość przyzwoitości, by tego rodzaju zabiegi ocenić jako podłe i zenujące, a ich autorów skazywać na towarzyską banicję. Tak się nie godzi i kultura płynnej rzeczywistości, jakkolwiek płynna by ona nie była, wciąż to wie. Opcja odprzyjaźniania dotyczyć może na ogół nie tyle wieloletnich przyjaciół, ile

znajomych, kolegów, osób, które kojarzymy w swoim otoczeniu, znamy z widzenia i słyszenia, towarzyszy do plotuch przy kawie na przerwie śniadaniowej itd. Z takich, co to już mamy ich powyżej uszu, możemy już oficjalnie zrezygnować – etyka człowieka współczesnego zdaje się już takie zabiegi dopuszczać.

Mówi to o naszych czasach aż nadto. Że cenimy szczerłość i nie cierpimy udawania, że interesują nas pogłębione relacje a nie powierzchowne small-talki, że irytuje nas banał, że nie mamy nań czasu. Jest w tym z pewnością wiele prawdy. Przyjaźń jest bardziej angażująca od małżeństwa, jest bardziej wymagająca. O ile w kategoriach szczęśliwego małżeństwa oceniany jest związek, w którym na jedną kłótnię przypada pięć pozytywnych zdarzeń, o tyle częstość ta, w przypadku „satisfakcjonującej przyjaźni” jest już za niska. Na jedno poróżnienie musi przypadać przynajmniej osiem zdarzeń o przeciwnym zwrocie. Facebookowi przyjaciele, liczeni w grubych dziesiątkach i setkach dostarczają takich nagród daleko za mało, byśmy oszukiwali się, że są naszymi przyjaciółmi. Niektórzy dostarczają na tyle mało, by być zaledwie kolegami – stąd zapewne użytek z opcji „defriend”. Teoretycznie zatem proceder koleżeńskiego rozwodu można uzasadnić psychologicznie: nie potrafimy inaczej. Ktoś musi nas satysfakcjonować na tyle, by się zakolegować, nasz umysł tak już działa, kropka.

O tym, że funkcja ta okazała się tak rozpaczliwie pożądana i szybko zyskała popularność w wirtualnych społecznościach niech świadczy fakt, że słowo „unfriend”, czyli „usunąć z listy znajomych” zostało słowem roku 2009 w New Oxford American Dictionary (co zapewne nie bez znaczenia, pokonało takie tuzy jak choćby netbook – mały laptop, słowo używane nagminnie, w Polsce chyba zresztą dużo popularniejsze). Potrzeba rzeczywistych głębokich relacji oraz psychologiczne ramy działania naszego umysłu zdają się przemawiać na korzyść opcji „defriend”, mimo to jednak, uważam, że stanowić może ona niepokojący syndrom naszych czasów.

Życie społeczne, warto o tym pamiętać, dokonuje się również – a może przede wszystkim – w obszarze niedostrzegalnym, nie do końca uświadamianym przez wszystkich wokoło. Przykłady i argumenty można mnożyć. Komunikacja niewerbalna, manipulacja, wnioskowanie z intencji, snucie domysłów i planowanie, funkcje ukryte i niejawnie – to chleb powszedni socjologicznej analizy zarówno codziennych interakcji, jak i działań większych społecznych całości, jak grupy czy instytucje. Znaczenie nieobserwowanych bezpośrednio działań o charakterze społecznym jest ogromne. Kłamiemy kilka-kilkanaście razy dziennie, właśnie w imię tych ukrytych determinantów. Bo oficjalne życie społeczne musi mieć swój porządek, swoją dynamikę, którą ujawnienie niektórych elementów (będących nawet tajemnicą poliszynela), mogłoby drastycznie zaburzyć. *Nota bene* sam fakt funkcjonowania czegoś takiego jak tajemnica poliszynela można by przeanalizować z punktu widzenia istotnej roli, jaką zjawisko owo pełni. Wszyscy wiedzą, kto z kim, po co i za ile, ale nikt nie mówi głośno – dlaczego? Bo wejście skrywanej, choć znanej prawdy w obszar ogólnie wiadomy i podzielany mogłoby się okazać niebezpieczne. Obawiam się, że jawny sposób funkcjonowania opcji „odprzyjaźnij” jest właśnie niebezpiecznym balansowaniem na granicy stabilności porządku interakcji, próbą gwałtownego przenoszenia elementów sfery ukrytej życia społecznego, na jego „jawną” i ogólnie dyskusowaną stronę.

Tajemnica poliszynela, tworzenie fasady tajemniczości dla ogólnie znanych faktów, ma swoje źródło w konstrukcji psychicznej człowieka. Dzielimy się takimi tajemnicami od zarania dziejów. To dzięki plotce – jak przekonuje wielu – nasz mózg rozpułchnął się do objętości obserwowanej obecnie.

Można bez większej przesady zaryzykować tezę, że tajemnica poliszynela była pewnego rodzaju katalizatorem naszej ewolucji. Dzięki obgadywaniu, plotkowaniu i snuciu domysłów rozwinęliśmy nasze zdolności językowe, usprawniliśmy orientację w skomplikowanej i dalej jeszcze komplikującej się strukturze społecznej, a docelowo – zwiększyliśmy nasz sukces reprodukcyjny ucząc się sztuki manipulacji, lawirowania między obozami i dzielenia się strategicznymi informacjami z osobami najbardziej zaufanymi.

Ewolucja życia społecznego człowieka to nic więcej jak koewolucja sfery jawnej i niejawnej, a nawet więcej: przede wszystkim owej sfery niejawnej, sfery, która staje się przedmiotem zainteresowania innych, niewtajemniczonych. W stu procentach jawną sferę życia społecznego posiadają zwierzęta: tam wszystko jest ogólnie wiadome. Wiadomo kto dzieli i rządzi, wiadomo, kto jest pretendentem do władzy, wiadomo, jaki był rezultat ostatniej konfrontacji, wiadomo, kto zapładnia samice. Sprawa zaczyna się nieco komplikować u naszych najbliższych kuzynów, szympanсів, gdzie w grę wchodzi również zawierane po cichu koalicje. U ludzi sprawy komplikują się na potęgę. Można z tego wyciągnąć wniosek, że w ciągu dziesiątek tysięcy lat nawykliśmy już do załatwiania wielu spraw niejako *incognito*, bez ujawniania wszystkich swoich intencji, pozostawiając wiele w sferze domysłów, dając jednocześnie pożywkę plotkom, temu niezawodnemu paliwu, dzięki któremu interakcje na wszystkich płaszczyznach życia społecznego nabierają tempa.

I nagle okazuje się, że współczesna kultura stara się obedrzeć życie społeczne z uroków tajemnic poliszynela. W wymiarze globalnym, masowym, przybiera to formę tabloidową, wszyscy śledzą nocne życie matki Madzi z Sosnowca, wszyscy za pośrednictwem teleobiektywu podpatrują nagi biust Kate Middleton i tak dalej. Świat odzierany jest z domysłu, wszystko staje się jawne. W wymiarze mikro jawne stają się z kolei nasze interpersonalne relacje, którym wyraz dajemy za pośrednictwem na przykład Facebooka. Tajemnica poliszynela przestaje istnieć. Wystarczy wyrzucić znajomego z listy lub – w przypadku dajmy na to rozpadu związku – zmienić status w odpowiednim miejscu. Pojawia się pytanie: gdzie usytuowane są korzyści z takiego działania? Przyznam szczerze, że wymienione przeze mnie wcześniej, a przytaczane w innych tekstach w podobnym temacie, jak choćby „Przyjacielu, odczep się”, są dla mnie tylko jedną i to w dodatku mało przekonującą stroną medalu. Zauważmy, że przyjaźń dokonuje się (tak samo jak i rozpad przyjaźni, czy znajomości) w głowie. Tak było, jest i będzie. Ktoś był lub jest naszym przyjacielem, bo tak myślimy. Analogicznie z nieprzyjaciółmi.

To kwestia, która od dawnych czasów zastanawia socjologów: czy społeczeństwo to byt realny, czy jedynie całość wyobrażona, trwająca i dziejąca się w umysłach swoich „nosicieli”. Sądzę, że w przypadku relacji głęboko intymnych przewagę zdobywa ten drugi komponent. Małżeństwo się legalizuje, jest to zatem najprawdziwszy społeczno-prawny fakt. W przypadku przyjaźni i znajomości nieformalnych o istnieniu relacji świadczy pamięć i świadomość (zaledwie). Są to relacje niezinstytucjonalizowane. Opcja „odprzyjaźniania” całkowicie zmienia jednak ich charakter i znaczenie. Z racji obszaru swego obowiązywania, którym jest Internet, funkcja *defriend* czyni relację intymną źródłem ogólnie dostępnych informacji. Nagle dostęp do niej ma praktycznie każdy i każdy może z niej wyciągać wnioski. Serwisy społecznościowe – nie tylko Facebook, ale także Myspace, Nasza Klasa czy Goldenline – uczyniły z przyjaźni i znajomości coś w rodzaju towaru, a dokładniej elementu służącego kreacji wizerunku.

Zaprzyjaźnienie i odprzyjaźnienie jest przede wszystkim komunikatem udzielanym otoczeniu, a nie samemu zainteresowanemu, który – teoretycznie – jest w relacji bezpośredniej i sam powinien być najlepiej poinformowany o całej sprawie. Tymczasem facebookowe przyjaźnie – obawiam się – nie różni się *de facto* w swej funkcji niczym szczególnym od tzw. lajków, czyli szczerkowych informacji na temat tego, co kto aktualnie polubił. Przyjaciel lub znajomy staje się elementem kreacji naszego wizerunku i to częściowo przez jego pryzmat postrzegają nas inni i – w konsekwencji – postrzegamy siebie również my sami.

Zwróćmy uwagę, że dotychczasowe zakańczanie znajomości doskonale działało właśnie dzięki tajemnicy poliszynela. Dla portalu Nasza Klasa, pre-fejsbukowego potentata wśród społecznościówek, to właśnie tajemnica poliszynela stała się problemem, który – z perspektywy pozycji na rynku – trzeba było pokonać, a na który ciężko było znaleźć alternatywę, i którą to słabość wykorzystał właśnie Facebook. NK.pl po stosunkowo krótkim okresie zachłyśnięcia się resentmentem, znacznie spowolniła obroty i szybko przestała być cool. A to za sprawą masowo organizowanych spotkań klasowych „w realu”. Ludzie najpierw poczuli, że warto się spotkać, odświeżyć znajomość... i koniec, to wystarczyło. Po intensywnej wymianie informacji, co u kogo słyhać nasza klasa jeszcze raz stała się tą samą starą klasą, która niekoniecznie trzymała się razem zawsze i wszędzie. I po pierwszym spotkaniu od dekady drugie już szybko nie nastąpi. Nagle okazało się, że najlepsze laski zdążyły już się pomarszczyć, największe klasowe paszczury wyszły całkiem porządnie za mąż, że lenie i obiboki radzą sobie świetnie, a uczciwe kujony ciągną zasiłek z ZUS-u. Stężenie żółci się podniosło, a i chęć do zaglądania na portal spadła. A że wszyscy jesteśmy znajomymi? Co z tego. I tajemnica poliszynela, że się znamy i lubimy, trwa.

Jest w tym tylko pozorna hipokryzja. Bo czy jest na świecie idiota, który gotów jest uwierzyć, że jeśli ktoś ma w swoim profilu dwustu przyjaciół – to ma ich faktycznie – owych przyjaciół – dwustu? Gdzie tam. Dla wszystkich oznacza to, że ma 200 znajomych. Zna skądś 200 osób. I tyle. Ale nie wiecie czemu, ugruntowało się w ludziach przekonanie, że owych 200 pobieżnie znanych osób, z baru, z widzenia, z pracy, ze znanej krainy „piątej wody po kisielu” – świadczy o nas w jakiś sposób. To idiotyczny, zupełnie nieuzasadniony błąd, pachnący jakąś niewytłumaczalną nerwicą. Co o mnie pomyślą, jeśli dalej będę się z tym kimś kolegował w wirtualu? Czym prędzej trzeba go odfriendować i wrzucić w kloakę niepamięci. Zgiń, przepadnij.

Oczywiście nie jest to zgodne z logiką czasów przed-sieciowych. Kiedy podtrzymywanie znajomości w realu kosztowało więcej czasu, środków i – ogólnie – zachodu. Dziś znajomość z kolegą z klasy, który złądował 15 lat temu na Alasce nie wymaga prawie żadnego wysiłku. Więc i logika się zmieniła. Teraz jest to logika ekshibicjonizmu. Bo skoro na Alasce można nas wypatrzyć, to owo niebezpieczeństwo podpatrzenia trzeba przekuć w zaletę.

Kultura ekshibicjonizmu, o jakiej wspomina się w kontekście programów *reality show*, czy prasy tabloidowej wężącej za sensacją, może mieć znacznie szersze znaczenie i odnosić się nie tylko do osób, które dominują w przekazie medialnym, ale również (a może przede wszystkim) do zwykłego użytkownika Internetu, liczonego w setkach milionów. Z jakichś przedziwnych powodów pragniemy, by mówiło o nas wszystko – nasze wybory, nasze preferencje, nasz strój i nasze znajomości.

Zwróćmy uwagę, że jest to dokładne przeciwieństwo czasów wiktoriańskich, gdzie takiego właśnie stanu rzeczy, gdzie nasze intencje zdradza najmniejszy szczegół,

obawiano się najbardziej. Było to prostym następstwem hegemonii psychoanalizy, która w niedopiętym kołnierzyku dopatrywała się tęsknot za gwałtem na własnej matce, względnie chęci zamordowania ojca. Dzisiaj kultura odbiła w stronę przeciwną: dziś, zupełnie nieoczekiwanie, każdy pragnie, by świadczył o nim najdrobniejszy nawet detal. Z tych choćby powodów obserwujemy popularność oferty „profilowanej”. Telefony komórkowe muszą mieć unikalne dzwonki, unikalne tapety, unikalne systemy aplikacji, które masowo produkowany gadżet zamieniają w gadżet jedyny i niepowtarzalny, wyjątkowy: mój. Nie inaczej rzecz ma się z profilem na portalu społecznościowym, który staje się unikalną emanacją – niech wolno mi będzie użyć ciężkiej socjologicznej terminologii – postmodernistycznej jaźni: oto ja, lubię to i to, komentuję to i to, należę do takich a takich grup, przyjaźnię się z tym i tym.

Przyjaźń – jak mawiał klasyk – to jedna dusza zaklęta w dwóch ciałach. Rozumiana może być ona jako wspólnota, poznawana i umacniania każdego dnia. Jest ona pewnym procesem. W czasach płynnej nowoczesności proces ten bywa jednak wystawiony na ciężką próbę. Czas postmoderny to czas wiecznej niestabilności. Badacze społeczni mawiają o wciąż towarzyszącej nam konieczności: wymogu nieustannej zmiany. Zmiany pracy, zmiany miejsca zamieszkania, zmiany kwalifikacji, nawyków, otoczenia, współmałżonka. Ale także zmiany punktu widzenia, zmiany systemu wartości, zmiany kultury. Tego rodzaju warunki nie służą wykształcaniu się trwałych tożsamości (a co dopiero mówić o trwałych relacjach!). Skutek? Młode pokolenie ma niebываły problem ze skupieniem uwagi przez dłuższą chwilę, nie przyswaja dłuższych komunikatów, nie czyta, a przynajmniej czyta coraz mniej. A nie jest to bez znaczenia, gdy chodzi o przyjaźń.

Co ciekawe, udowodniono bowiem, że codzienne czytanie sprzyja rozwojowi zdolności empatycznych. Paradoksalnie, nawet przesiadując całymi dniami w domu, otoczeni książkami mamy szansę rozwinąć całą gamę społecznych umiejętności, wystarczy, że autor jest dobrym obserwatorem świata człowieka a my jesteśmy choć odrobinę wrażliwi (czy to nie paradoks, że dzisiejsze czasy multikomunikowalności, komunikowania wszystkiego wszystkim wszędzie i w każdej chwili, obfitują jednocześnie w ludzi, których zdolności komunikacyjne – tzw. kompetencje miękkie – są na zatrwajająco niskim poziomie; świadczy o tym praktycznie każde badanie wymogów polskiego pracodawcy). Czytanie jest jak przyspieszony korespondencyjny kurs świata człowieka i jego kultury. Problem w tym, że dzisiejsze czasy takiej formie refleksji nie sprzyjają, o czym przekonują przerażające dane o niecałej połowie książki czytanej rokrocznie przez statystycznego Polaka. Możemy zatem wnosić, że i ze zdolnościami empatycznymi i więziotwórczymi u nas równie krucho.

Pojawia się zatem pytanie na ile przyjaźń w dobie Facebooka jest poszukiwaniem „drugiej połówki duszy”, a na ile jedynie odławianiem tych komponentów z otoczenia społecznego, które najbardziej do nas pasują w danej chwili, w danym momencie. Przykładowo, innych przyjaciół mamy w liceum, inne przyjaźnie zawieramy na studiach, jeszcze inne – po, w pracy, w sąsiedztwie. Przyjaźń trwająca całe życie zdarza się i możliwa jest coraz rzadziej, wymaga coraz więcej wyrzeczeń, a wyrzeczenia to coś, czego ani dzisiejsze społeczeństwo, ani popkulturowa konsumencka etyka nie lubią.

Zawieraniu przyjaźni i trwalszych znajomości sprzyjają wspólne pasje. Można nawet postawić twierdzenie, że wspólna pasja jest jednym z najsilniejszych czynników cementujących relacje między ludźmi. Wspólne zainteresowania to gwarancja podobieństw charakterologicznych. Niestety, posiadanie hobby to luksus, który stawia

dziś podobne wymagania co przyjaźń. Czy nie jest zresztą tak, że hobby można postrzegać i opisać jako przyjaźń z samym sobą? Hobby to zaspokajanie swoich pragnień, niekiedy bardzo nietypowych, poświęcanie sobie samemu czasu, łączące się z dostarczaniem i odczuwaniem przyjemności. Hobby na ogół bywa również czynnością angażującą przez wiele lat – jak w przypadku przyjaźni. Ponadto, zawsze łączy się z silnymi emocjami. Stary znaczek może być fetyszyzowany jak stara fotografia bliskiej osoby. Ale z hobby w dzisiejszych czasach jest równie niewyraźnie.

Deklaracje młodzieży często wskazują na brak hobby (podobnie z rozbijającą szczerością młode pokolenie opowiada o znikomej liczbie przeczytanych książek, chyba że są to e-booki, ale to też niezmiernie rzadko). Polacy notorycznie deklarują brak wolnego czasu (z tą samą żelazną konsekwencją deklarując zwiększającą się z roku na rok liczbę godzin spędzanych dziennie przed telewizorem). Hobby, podobnie jak przyjaźń, jest próbą charakteru, wytrwałości, trwania przy postanowieniu, jest dobrowolnym nałożeniem sobie ograniczeń, poszerzaniem wiedzy. Jest znacznym zaangażowaniem środków, a nie wyłącznie czerpaniem korzyści.

Na odejście od systemu wartości premiującego charakter wskazywał już Dawid Riesman w „Samotnym tłumie”, mówiąc o przejściu do stadium człowieka zewnątrzsterownego, kierującego się nie tyle charakterem, wewnętrznym nakazem, ile osobowością – relacjami ze środowiskiem zewnętrznym, wyobrażeniem na temat tego, jacy jesteśmy i jak chcemy być postrzegani przez nasze społeczne otoczenie. Ewolucja – jeśli można użyć tego sformułowania – zjawiska przyjaźni zdaje się zmierzać w kierunku zasugerowanym przez Riesmana: jest rezultatem działania nie sił charakteru, ale osobowości. Za cel stawia nie pogłębianie relacji z drugim człowiekiem, ale budowanie obrazu siebie w społecznym otoczeniu.

Składa się to wszystko w jakąś tajemniczą całość, rodzi się z tego jakaś nienazwana synteza. Być może jest to wszystko jedynie kolejnym przejawem postmodernistycznej jaźni, o której spisano już przecież całe tomy. Mówi się, że jaźń postmodernistyczna to umysł zbudowany z pokawałkowanych treści, nieosadzonych w szerszym kontekście, dążący do ciągłej zmiany, poszukujący nowych atraktorów, łaknący rozrywki i bycia zabawianym, chwilowych relacji, pozbawiony sztywnych wzorców, raczej kierujący się zasadami relatywizmu kulturowo-moralnego. Ot, płynne Baumanowskie czasy. Ale do tego portretu człowieka współczesnego można też dorzucić nieumiejętność znalezienia pasji, narcyzm, którego drugim obliczem jest niezdolność do zaprzyjaźnienia się z samym sobą, przekonanie, że wszystko winno być żelazną konsekwencją naszych wyborów i wszystko winno świadczyć o naszych upodobaniach. I jako pewne post scriptum pojawia się również osobliwe traktowanie znajomości. Te realne, głębokie – przyjaźnie – wystawiane są na coraz cięższą próbę, muszą sprostać psychologicznej potrzebie fizycznej bliskości, spływają się, zanikają, choć trwają jeszcze w świecie wirtualnym, jako osobliwa fasada. Używane są jednocześnie do snucia opowieści o sobie samym, podtrzymywania wyobrażeń – swoich i innych – na swój własny temat.

Ale rozważania te – i niechaj będzie to ich puenta – obciążone są bardzo poważnym ryzykiem: są nietrwałe. Zdezaktualizują się bardzo szybko. Śmiem twierdzić, że każdy portal społecznościowy redefiniuje pojęcie znajomości. Sam korzystam z dwóch: GoldenLine i LastFM. Pierwszy z nich to portal branżowy. Tam nawiązują się głównie znajomości „po fachu”, zbliżone branże, zbliżone specjalności, ludzie nie muszą być zaraz na ty. W drugim – poświęconym słuchaniu muzyki i zdobywaniu informacji o artystach – mam raptem ze 20 znajomych, którzy mają podobne upodobania estetyczne (większości, jako że funkcjonują tam pod postacią awatarków i nicków, nie znam nawet z imienia, nie

mam pojęcia co to za jedni. Niekiedy nie wiem nawet jakiej są płci. Dziwne? Cóż, ta społeczność jakoś pomija ten aspekt). Te dwie grupy nie mają ze sobą nic wspólnego. Sądzę, że podobne rozbieżności dałoby się znaleźć pomiędzy specyfiką znajomości zawieranych na Naszej Klasie i na Facebooku. Ale i Facebook się w końcu zdezaktualizuje. Prędzej czy później coś go wyprze. I to coś również przedefiniuje pojęcie znajomości.

Chciałbym móc powiedzieć, że wolna droga, że Internet sobie, a ludzie i tak będą chcieli spotkać się czasem w realu i popielegnować tę starą, tradycyjną przyjaźń face-to-face. Ale nie mogę, bo w to nie wierzę. Specyfika naszego społeczeństwa pod wpływem Internetu i wszechobecnej sieci powiązań komunikacyjnych zmienia się na wszystkich płaszczyznach i faktycznie zmniejsza możliwości naszego działania w realu. Przykład? Wyobraźmy sobie, że robimy zakupy, a nie wiemy, czy czegoś przypadkiem nie dokupić. Dzwonimy do domu, uzyskujemy informację. Koniec. Uff! Co ja bym zrobił bez komórki! No, jak bez ręki. I co? Czy 20 lat temu nie można było normalnie robić zakupów? A guzik. 20 lat temu po prostu nie było tej kategorii problemów. Być może o tym zapominamy, ale naprawdę ludzie świetnie radzili sobie bez komórek. Tak samo jak nie umierali ze strachu, gdy nie mieli od dziecka kontaktu przez 8 godzin albo i dłużej (szkoła, zajęcia pozalekcyjne etc.). I analogicznie jest dziś, również z przyjaźniami. Po prostu coraz ciężiej nam wyobrazić sobie, że znajomość to coś więcej niż fragmentaryczna dostępność: pod smsem, pod mailem, pod komunikatorem internetowym, czy pod linkiem w galerii znajomych. Trzeba w nią włożyć znacznie więcej wysiłku i zaplanować w szerszym horyzoncie czasowym, wykraczającym daleko poza możliwości skontaktowania się „jak gdyby coś”. Zupełnie tak, jak przygotowując zawczasu kompletną listę zakupów.

***Tomasz Kozłowski** jest adiunktem w Katedrze Pedagogiki i Socjologii w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu. Ostatnio wydał książkę „Samotny hulaka. Rzecz o protokulturze ery pop” opublikowaną przez Oficynę Wydawniczą ŁOŚGRAF.*